

Wiech  
Opowiadania przedwojenne

Tom V  
Trup przy telefonie



# Wiech

Stefan Wiechecki

## Trup przy telefonie

czyli  
opowiadania żydowskie

Zebrał i opracował  
Robert Stiller

vis-à-vis  
*etiuda*

Kraków 2023

Mniej znane realia i wyrażenia  
objaśniono w słowniczku na stronach 187–198

*Wolę książkę, która ma niepoważne zamierzenia i poważne osiągnięcia, od dzieł, które mają poważne zamierzenia i niepoważne osiągnięcia.*

Antoni Słonimski

*Uważam Wiecha za jednego z najlepszych polskich pisarzy współczesnych, niewyczerpanego w pomysłach i zajmującego wyjątkową postawę moralną. O Wiechu można nawet powiedzieć, że jest wielkim filozofem.*

Michał Choromański

*Wiech to gentleman, szalenie dowcipny, nigdy jadowity, często wzruszający. Jego felietony są wynikiem obserwacji bardzo uważnej, pracy w swoim rodzaju całkiem twórczej i na wskroś oryginalnej.*

Maria Jasnorzewska



## *Wąż w pociągu*

W zatłoczonym przedziale trzeciej klasy pociągu, idącego w stronę Tłuszcza, siedziało dostojne towarzystwo złożone z kilkunastu panów z rozłożystymi brodami, odziane jednolicie w długie czarne angiezy. Ożywiona rozmowa dotyczyła najwidoczniej spraw handlowych, gdyż co pewien czas jeden z biorących udział w dyskusji udawadniał coś innym za pomocą skomplikowanych wyliczeń ołówkiem na odwrocie biletu kolejowego.

Nagle czarno ubrani handlowcy przerwali konferencję matematyczną i z uwagą przysłuchiwać się zaczęli rozmowie prowadzonej przez jakichś dwóch panów w strojach letniskowych.

Jeden z letników mówił:

– Faktycznie w takim na przykład Kłębowie masz pan węży, żmij, jaszczurek i inszych gadów do cholery i trochę. W zeszłym tygodniu podobnież wąż Żyda w lesie ugryzł, to chociaż przyleciał zaraz do doktora do Tłuszcza, nic nie pomogło. Puchł, puchł i pod wieczór zakitował.

– Bo dochtór nie umiał go leczyć. W takim wypadku trzeba tylko dać choremu wypić butelkie wódki i na drugi dzień przyjdzie do siebie.

– A ja panu powiem, że dochtór nie frajer. Żydzi do wódki nie zwyczajne. Mogłoby mu nie pomóc, a jeszcze by białej gorączki dostał i całe urządzenie z szafą z nożamy i ceratową kanapą w drebiezgi doktorowi porozbijał.

– I to racja. Ale powiedz mnie pan, co to jest, że żmije po największej części na starozakonnych się rzucają?

– Bo czostku nie lubią, w oczy ich szczypie.

– To tak jak człowieka.

– Wiadomo, gad także samo stworzenie i nie ma życzenia bez dania racji łązamy się zalewać.

– W taki sposób i do kolei za tem zapachem żmija czyli też wąż może się czasem wślizgnąć?

– Rzecz naturalna. Dlatego tyż jak się ma usiąść, zawsze ławki trzeba detalicznie obejrzyć, żeby gada nie przydusić, bo może być krewa.

Handlowcy poruszyli się niespokojnie, unieśli się nieco, obejrzeni za siebie i już mieli usiąść z powrotem, gdy nagle na górnej półce wśród walizek coś się zakotłowało. Zaszleścił papier i szarostalowy, sprężysty, długi, śliski, wijący się kształt przeciął powietrze, spadając wprost na szyję jednemu z brodatych pasażerów.

Kupiec zbladł jak chusta, schował głowę w ramiona, potem nagle wynurzył szyję jak tylko mógł najdłużej, zerwał się z ławki i machając rękami począł skakać nerwowo po całym przedziale. Przypominał do złudzenia wschodnią tancerkę z wężem. Ale nie wywołał zachwyty wśród współwyznawców, którzy z okrzykami trwogi tłoczyli się do wyjścia lub nakrywali głowy połami haweloków. Nie stracił przytomności tylko jeden z letników. Skoczył na kupca występującego w charakterze egzotycznej bajadery, zerwał mu z szyi węża, zawiąnął w papier, owiązał sznurkiem i zawołał z pasją:

– Teraz już mnie, draniu, nie pryśniesz! Patrz pan, od Łomianek go wieżę w papierze i taki jeszcze wesoły.

– A kto to jest?

– Węgorz cholera. Prezent od teścia dla żony.

Tu dwaj letnicy uśmieli się serdecznie i chcieli zmienić temat rozmowy, kiedy zaprotestowali przeciwko temu przerażeniu kupcy, zapowiadając na stacji interwencję policji.

Jakoż po zatrzymaniu się pociągu do przedziału wkroczył policjant celem spisania protokołu za nielegalny przewóz kolejami dzikich zwierząt. Wysłuchawszy jednak opowiadania pasażera o teściu rybaku i obejrzawszy węgorza, odmówił interwencji.

Kupcy zapowiedzieli skargę do samego ministra.



## *Agent negusa*

Pan Alojzy Knapik wracał z imienin swego przyjaciela Wacusia w stanie wiadomym. Jakkolwiek zamieszkuje przy ul. Puławskiej, solenizant zaś na Pradze, droga dziwnym trafem wypadła mu przez ogród Krasińskich.

Stanąwszy w głównej alei, pan Alojzy długo patrzył z niemym wyrzutem na kilku kupców siedzących na ławkach, wreszcie podszedł do nich i zawołał:

– Do Abisynii, pudle karakułowe, pieska wasza niebieska!

Handlowcy zaniepokoiли się i chcieli się zerwać z ławki, ale pan Alojzy stał już przed nimi z pamiątkową antypką i mówił:

– Do Abisynii, beduiny, za ondulowane brody szarpane! To wy tu na ławkach się opalacie, w październiku plażę sobie uskuteczniając, a Musolińszczaki waszych wujaszków na puszczy grzeją w kuchnię jak w kaczy kuper?

To wy tu jajka na twardo w Krasińskim ogrodzie opychacie, a Włochy Abisyńczykom Abdułę i Ali Babę zabierają.

Wstydu w oczach za grosz trzeba nie mieć, żeby na to pozwolić!

Chorzy ze szpitali się wypisują, na gołego z majchramy w rękach, boso, na pozycje lecą, a wy sobie piegi na słońcu przypalata? Dostyc tego! już się w pary ustawiać i jazda na kolej, do Abisynii wujaszków bronić!

Widząc drogę do Nalewek odciętą, kupcy postanowili pertraktować z panem Alojzym.

– Szanowny panie Pe.

– Dlaczego Pe?

– Co znaczy dlaczego? Pijany jesteście, nie? A poza tym z powodu mamy jechać do Abisynii?

– Bo Abisyńczyki także samo podobnież starozakonne i przez nieboszczyka króla Salomona jeździecie krewniaki. W kurierach czytałem, że cwaniak Salomon abisyńskie królowe Sabinę, co za wróżkie się zatrudniała, sobie przygruchał i na wiarę parę ładnych lat z nią żył. A wiadomo, że starozakonne na kobiety zawzięte i stąd się właśnie te Murzyny starego destamentu wzięli.

Skoro jeżeli ojciec wykształcenia jem nie dał, majątku także samo nie zostawił i taki mortus cierpią, że nawet butów sobie nie mają za co kupić, wasze prawo famielii teraz dopomóc.

Chciało się Salomonowi Sabiny, to wam się musi chcieć teraz, psia wasza nędza, w murzyńskim wojsku służyć!

Przychodzisz, beduinie, do wróżki, to jej prepozycji nie rób, tylko słuchaj, co ci przepowieda, a nie umiesz się w przyzwolitem mieszkaniu zachować, to ci potomków na wojnę zabieram!

Dosyć tego gadania i jazda do Abisynii!

Tu pan Alojzy, ustawiwszy rekrutów w pary, ruszył z nimi w stronę dworca Gdańskiego.

Na szczęście spotkali po drodze policjanta, który, uwolniwszy poborowych, odprowadził ich przewodnika do komisariatu.

Przed sądem starościńskim pan Alojzy oświadczył, że wobec zmiany sytuacji wojennej w Abisynii mobilizację w Krasieńskim ogrodzie uważa za niepotrzebną i poprzednie swoje zarządzenia całkowicie cofa.

Niewiele to jednak pomogło. Sąd bowiem uznał, że ogłaszanie tego rodzaju aktów w miejscu publicznym stanowi zakłócenie spokoju, i skazał agenta negusa na 30 złotych grzywny.

## *Kobieta i klejnoty*

Od wieków wiadomo, że żadna prawdziwa kobieta nie oprze się czarowi drogich kamieni, zwłaszcza ofiarowywanych jej przez dyskretnego mężczyznę i to po wyjątkowo przystępnej cenie.

Pani Różia Cukier nie byłaby prawdziwą córą Ewy, gdyby nie zareagowała przychylnie na propozycję kupna za 200 złotych trzech wspaniałych brylantów z berła cara Mikołaja, uczynioną jej szeptem przez tajemniczego bruneta w meloniku i ciemnych okularach.

Toteż pani Cukier weszła do bramy za zagadkowym brunetem i wzięła w drżące ręce historyczne klejnoty.

Pan w meloniku opowiadał jej tymczasem niezwykle dzieje kamieni.

– Ja jestem prima nastajaszczyj ruski generał gubernator i figiel adiutant! Z nieboszczyka cara Mikołaja za kolegów byliśmy. Uj, to on mnie lubiał. Nieraz to mówił do mnie: „Słuszaj, kniaź Szczerbatow, jak broń Boże kiedyś umrę, możesz sobie zabierać do domu to berło, bo rzeczywiście na co umarłego takie coś? W trumnie ze złotą pałką, wysadzoną brylantami po tysiąc rubli sztuka w sztuki, pójdę machać, tak?” Ale się potem zrobiło nieszczęście, berło go odebrali i ja musiałem wykradać to jak zwyczajny złodziej z ogniotrwałej kasy od bolszewików. O mało mi nie rozstrzelili przy tem też.

Z dalszego opowiadania księcia Szczerbatowa wynikało, że z ledwością przeniósł przez granicę bezcenny przedmiot, przebrawszy się z kapiącego złotem munduru w zwyczajną jesionkę, melonik i ciemne okulary.

Piętnaście lat przeżył, wyjmując z berła kamień po kamieniu. Teraz zostały mu ostatnie trzy sztuki, które chce sprzedać za jednym zamachem, ale tylko w ręce jakiejś inteligentnej osoby, która potrafi otoczyć pieczołowitą opieką te historyczne klejnoty.

Pani Cukier po krótkim targu kupiła kamienie za 180 złotych. Kniaź Szczerbatow oblał je gorącymi łzami i znikł w tłumie.

W jakiś czas potem okazało się, że Mikołaj II fatalnie nabrał swego przyjaciela, ofiarowując mu berło wysadzane szlifowanymi szkiełkami. Trzy kamienie nabyte przez panią Rózię warte były bowiem tylko 1 zł 80 gr.

Przepląciwszy tak grubo, pani Rózia postanowiła odszukać księcia Szczerbatowa i istotnie spotkała go na Gęsiej ulicy.

Okularów ani melonika już nie miał, tym niemniej gubernatorskie rysy go zdradziły.

Nie pomogło zapieranie się, nie pomogło nawet okazanie dowodu osobistego, widocznie sfałszowanego, opiewał bowiem na nazwisko Salomona Załkinda. Książę stanął przed sądem.

Świadkowie dowodowi, przyjaciele pana Salka, twierdzili zgodnie, że on nigdy nie był gubernatorem, nigdy nie miał melonika ani okularów.

– Pan sędzia sobie wyobraża, jak on by wyglądał w meloniku? To można by było po prostu pęć ze śmiechu, zobaczyć go! – mówili.

Poza tym dowodzili kategorycznie, że chodzą z nim stale razem i absolutnie nie przypominają sobie, aby kiedykolwiek widzieli na oczy panią Cukier.

Argument ten był rzeczywiście nie do pobicia, boć jeden człowiek mógłby nie pamiętać rysów twarzy pani Rózi, ale żeby dwunastu osobom, stale razem chodzącym po mieście, mogły one zupełnie wyjść z pamięci: to niepodobieństwo.

I rzecz dziwna, mimo tak nieodpartego dowodu sąd uznał pana Salka za byłego generała fligel-adiutanta i skazał go w tym charakterze na sześć miesięcy więzienia.

## *Plaża, miłość i weksle*

Pierwsze gorące promienie majowego słońca powoli nadawały pomarańczowo-czekoladową barwę okolicom ponadkustimowym ciała pana Salka Lejzerowicza, leżącego na piasku plaży „Poniatówka”. Pan Salek z lubością poddawał się namiętnym całusom słońca i marzył z przymkniętymi oczami. Obok niego spoczywała urocza znajoma, panna Norma Gelbfisz.

– Posłuchajcie, Norma! Czy domyślacie się natomiast, o czym idę marzyć, patrząc na was z przymkniętym wzrokiem?

– Świnia... zostawcie to...

– Zgadliście. Właśnie o tego myślałem... więc zgadzacie się?

– Co znaczy zgadzam się... ja was proszę zostawcie... chyba że matrymonialnie.

– Apropoz matrymonialnie... to ile?

– Co znaczy ile?

– Ile daje tatunio w posagu?

– Przede wszystkim kryzys, niezależnie brak gotówki, a co za tem idzie wekslami.

– Nie mówmy o tego, Gelbfiszówna! Grzejcie się na słońcu, dojrzewając, czekajcie, jak będzie łatwiejsze dyskonto. Dziś nie jesteście interesem. Nie mogę się narazić na posiadanie za-protestowanej żony.

– Lejzerowicz, liczcie się ze słowami. O protesty nie ma mowy. Poza tem ostatecznie dwa tysiące gotówką.

– To jest pusty szal... i gdyby nie wasz wdzięk kobiecy, tudzież ciało, po prostu łośoś... nie wracałbym do tego temata. Ostatecznie trzy tysiące i murowane żyra... Och! Gelbfiszówna, patrząc na was rachunek się traci...

– Pomówię z tatuniem.

– Podawajcie rączkę, niech się napawam z rozkoszą ugryźć tego kawałka kobiety.

– Perwersjusz... macie... gryźcie...

Tak się zaczęły konkury pana Salka. Dalszy ciąg miał tempo błyskawiczne i obfitował w dramatyczne momenty. Tegoż dnia szczęśliwy narzeczony wziął od przyszelego teścia 500 złotych zaliczki, a nazajutrz nadesłał list tej treści:

*Niniejszem kwituję z pożyczonej mi sumy 500 złotych,  
którą teraz poniekąd nie mam i z powodu to nie zwrócę.  
Dla panny Normy ukłony i życzenia szybko wyjść za mąż,  
jakby się kto broń Boże trafił, co myślę, że nie, z powodu  
trudne dyskonto.*

*Z poważaniem Salek L.*

Papa Gelbfisz przeczytawszy list zbladł, wskoczył w tramwaj i pojechał do komisariatu, gdzie oskarżył Lejzerowicza o podstępne wyłudzenie 500 złotych.

Jednak sąd grodzki nie dopatrzył się cech przestępstwa i na rozprawie, w miesiąc później odbytej, pomysłowego pożyczkowicza uniewinnił.

## *Zakazany owoc*

Któryś ze współczesnych filozofów powiedział, że dwie są tylko rzeczy, dla których warto żyć na świecie: zakazane i niezdrowe.

Według tej filozoficznej maksymy układał swoje dotychczasowe życie pan Bogumił Wiśniewski z ulicy Węgierskiej na Ochocie. Czerwone szyldy z napisem RESTAURACJA III RZĘDU DO WYPICIA W MIEJSCU przejmowały go abominacją,

natomiast jeśli ujrzał gdzie na szybie słowo KAWIARNIA, a pod nim na półmisku nogi na zimno i cielący mostek, ożywił się, wchodził, przymrużał oko, przytykał się w kołnierzyk i mówił:

– Pani gospodynia cyknie setkie mocnej kawy.

Po chwili bezbarwny płyn bulgotał wesoło w jego gardle.

Zbyt jednak intensywne stosowanie filozofii w życiu codziennym przyprawiło w końcu pana Bogumiła o bardzo niemiłe przygody.

Pewnej nocy przed kawiarnią „Nasza Riviera” przy ul. Stawki, należąca do pana Lejzora Kiszki, zatrzymała się zabytkowa drynda warszawska. Z wehikułu wysiadł oczywiście pan Bogumił, tuląc się z płaczem do liberyjnego rękawa dorożkarza, który pomagał gościowi wysiąść. Towarzyszył tej parze ozdobnie wymalowany motyl brukowy.

Gdy towarzystwo, wybijając po drodze szybę w drzwiach, znalazło się w lokalu, personel „Naszej Rivieri” z właścicielem na czele krzyknął jednogłośnie:

– Uj, co się robi, co? Wódki nie ma! Tu kawiarnia jest!

– Ja właśnie... tylko... w kawiarni... Trzy dziecinne... dla mnie... dla sałaty i dla dziewczynki! Tylko na jednej nodze, bo będzie... nieprzyjemność! A po co?

Gdy perswazje nie pomogły i wódka się nie zjawiała, pan Bogumił wybił słojem korniszonów szybę wystawową, porzucił kelnerki, podarował dorożkarzowi gęś, motylowi indyczkę i przystąpił do rozdzielania między obecnych luster i mebli. Ale zjawił się policjant.

– Panie władza, dobrze, że pan przyszedł – ucieszył się pan Wiśniewski. – Widzi pan, jakie tu nieporządki... Wódki nie dają... Zmuszony byłem szybę wybić... i lokal cokolwiek wyremontować... A teraz proszę aresztować tego starozakonnego Izraelitę za krzywoprzysięstwo.

Przysięgę mi złożył... że wódki nie ma... a ja ją czuję.

Bo nie naszego brata bujać na kawę z kozuszkami!

Policjant zasiadł za stołem i długo pisał.

Wszystkie te okoliczności wyszły na jaw podczas rozprawy w sądzie grodzkim, przeciwko panu Kiszce, o sprzedaż wódki w kawiarni.

Pan Bogumił zeznawał tylko jako świadek, bardzo zresztą lojalnie wobec pana Kiszki, stwierdzając, że wódki w lokalu istotnie, pomimo skrupulatnego przewrócenia bufetu, nie znalazł.

Sędzia uniewinnił kawiarza, który wolny jak ptak powędrował na Stawki.

GORZEJ BĘDZIE Z PANEM WIŚNIEWSKIM, ponieważ w sądzie wyszedł na jaw udział w zabawie motyla. Obecna na sali pani Wiśniewska, przed którą mąż ten szczegół zataił, zacisnęła mocno w rękę parasolkę i zawołała pod adresem, którego się wszyscy domyślili:

– Już ja cię w domu osądzę, że w niebie będzie słychać.

## *Ludwik XIV i Rabinowicz*

– Imię?

– Judka.

– Nazwisko?

– Czy koniecznie?

– Cóż to za pytanie?

– Z powodu się kręgam.

– Czego? Przecież nazwisko podsądnego brzmi przyzwoicie.

Mam je tu przed sobą.

– Jak pan sędzia ma go przed sobą, to czy nie szkoda czasu się zapytać?

– Procedura tego wymaga. Proszę nie rezonować.

– Już. Się nazywam... Kozak, dla starozakonnego to nie wypada... coś nieładnie.

– Zawód?

– Co?

– Czym się oskarżony zajmuje?

– Kupcem.

– Czy posiada odznaczenia, ordery?

– Jakoś coś nie. Może z powodu mam plاتفus i do wojska mnie, broń Boże, nie wzięli? Nie wiem, ale nie mam.

– Czy był karany?

– Jeszcze nie. Dalej zależy od pana sędziego.  
– Czy pobiera renty i zapomogi państwowe?  
– Pan sędzia żartuje. Podatków owszem płacę.  
– Zwracam uwagę, że jeśli podsądny będzie odpowiadał dowcipami, ukarzę go grzywną.

– Już!

– Judka Kozak oskarżony jest o to, że nie mogąc wyegzekwować należności, wpadł do mieszkania dłużnika i połamiał mu meble. Czy przyznaje się do winy?

– Proszę wysokiego sądu. Przede wszystkim nie wpadł, tylko grzecznie wszedł i zapytał, rzucając czarującego uśmiecha: „Czy pan będziesz płacił, Rabinowicz?” I wyobraża sobie pan sędzia, co on na to: „Jak pana zapłacę, to pan odjedziesz z Ostatnią Posługą, panie Kozak.”

Co miałem zrobić? Się zdenerwowałem i... szafa się przewróciła, lustro też owszem się zbiło.

– Jak to... samo?

– Ja wiem? Rabinowicz się rzucił, skakał, krzyczał, może od tego...

Zeznawał następnie świadek i zarazem poszkodowany Rabinowicz.

– Czy istotnie były to meble Ludwika XIV? – pyta go się sędzia.

– Jakiego tam Ludwika – przerywa oskarżony. – Lejzor on się nazywa. Lejzor Rabinowicz! Że córkę wydał za doktora, to już jest Ludwik? Niech on pokaże paszport, pan sędzia się przekona. On jest taki Ludwik jak ja hrabia Potocki.

– Proszę o spokój. Chodzi mi o styl mebli. Więc czy to były drogie stylowe meble, usprawiedliwiające tak wysokie powództwo cywilne, jakiego pan żąda?

Ponieważ poszkodowany nie potrafił uzasadnić swego żądania, a oskarżony zgłosił nowych naocznych świadków, sprawę ku zadowoleniu stron odroczoneo.



## *Obrońcy moralności*

Jest w Warszawie pewna ulica specjalnie ulubiona przez zakochane pary. Dziwna to bowiem arteria, dziwna jak sama miłość. Dołem toczą się auta i wozy, płynie wielkomiejskie życie, a na zboczach zielonych gór, stanowiących ściany tej oryginalnej ulicy, panuje wieczorową porą niepodzielnie Amor.

Za każdym niemal krzaczkiem rozlegają się miłosne zakłęcia. Ulica ta nazywa się Agrykola.

Jest prócz tego rzeczą notorycznie znaną, że zakochani nie lubią, by im przeszkadzać. Zrobiwszy tego rodzaju odkrycie i biorąc pod uwagę właściwości terenu, dwaj młodzi mieszkańcy pobliskiej ulicy Solec, panowie Antoni Wypych i Franciszek Malina, postanowili wyzyskać to do celów zwalczania kryzysu.

– Idziemy, Franuś, na ksiuty w Agrykolę, tam zawsze od spietranych frajerów parę złotych da się wydusić – rzekł do kolegi pan Antoni.

I poszli. Zaraz na wstępie natknęli się na siedzących rączka w rączkę w rozmarzeniu pana Beńka Zylberblata i jego narzeczoną, pannę Różę C.

Stanąwszy nad nimi pan Antoni krzyknął urzędowym tonem do pana Beńka:

– To to tak? Toś pan tu przyszedł niemineralność odstawiać? I to na palcie o jedenastej w nocy pod samym pomnikiem króla Sobieckiego, co z Turkiem draniem wojował!

Paskudnieś pan wleciał i z kryminału nie wyjdiesz. Dziewczynka też przegrana na całe życie: czarna książeczka i spokój.

Komisarz jestem z obyczajówki, dalej zabierać się do mamra!

Zakochana para zdretniała z przerażenia, zaczęła prosić, błagać pana komisarza o darowanie, przysięgając, że moralność nie była obrażona ani razu.

– Jak to ani razu? Nawet pan facetki nie pocałowałeś?

– Nie.

– No toś pan dęty frajer. Dawać po pięć złotych kary i jazda do domu.

Pan Beniek zapłacił skwapliwie, ale już za chwilę zreflektował się i począł wrzeszczeć jak opętany:

– Policja! Policja!

Nadbiegli prawdziwi policjanci i samozwańczych kolegów aresztowali.

Stawieni przed sąd grodzki panowie Malina i Wypych tłumaczyli się, jak następuje:

– Faktycznie ani ja, ani mój koleżka do policji obyczajowej nie należem, ale jako że jesteśmy obywatele Solca, boli nas to, że pętaki z całego miasta przychodzą znieważać obyczajowość właśnie w nasze strony. Znakiem tego chcieliśmy oddać ich do sądu, żeby się nauczyli, gdzie z miłosnem zapotrzebowaniem należy chodzić.

– A czemu to później zgodziliście się wziąć po pięć złotych i nie robić użytku ze swoich spostrzeżeń?

– Wyszliśmy z tak zwanego założenia, że faktycznie szkoda tych młodziaków gubić. Może się jeszcze poprawią. Bo proszę wysokiego sądu, złamać życie komuś łatwo, ale później go wyratować trudno.

Powiedzmy, oddajemy tego pana w ręce sprawiedliwości i co się z niem dzieje?

Wsadzają go do mamra, między oprychów i złodziei. Chłopak wychodzi po dwóch tygodniach i jeżeli nie nauczony kraść, to na pewno umiejący używać wyrażeń publicznych. Jak tak w domu przy gościach się odezwie, ojciec go wydziedziczy i ofiara losu gotowa. A z tą facetką jeszcze mogłoby być gorzej...

Tu sędzia przerwał ponury horoskop i oświadczył wręcz, że nie do oskarżonych należy opieka nad moralnością publiczną.

A żeby ich na przyszłość zabezpieczyć od pokus, zaaplikował im po jednym miesiącu aresztu z zawieszeniem na przeciąg lat trzech.

## *Taki rok na stary rok!*

– Taki rok na ciebie! – Mawiają mieszkańcy północnej dzielnicy Warszawy, jeśli komuś niezbyt dobrze życzą.

Ubiegły 1936 rok to był właśnie „taki rok”. Może niezupełnie, bo podobno zaznaczył się pewną poprawą gospodarczą. Nie

wszyscy ją zauważyli, ale zawsze... Za to pod względem zgodnej współpracy narodów w wielkim dziele utrzymania pokoju i ogólnego rozbrojenia był to na pewno „taki rok”. I dlatego żegnamy go wszyscy z ulgą i nadzieją, że ten nowy będzie lepszy. Pełna nadziei Warszawa powitała zmianę kalendarza entuzjastycznie.

W nocnym dancingu, w takt black bottoma i oberka, deptali sobie ludzie po odciskach, zamieniając w przelocie urywane zdania.

– Winszuję się z panem, panie Ka.

– Z powodu?

– Co za pytanie? Nowy Rok!

– Co pan będziesz z niego miał?

– Co znaczy co będę miał? Myślę, że pan wykupisz swoich zeszłorocznych protestów.

– Tańcz pan oberka, panie Ka! Uj dziś, dziś dziś! Dzisiaj nie! Może jutro! Może jutro! Ale wątpię też. Hop! hop!

Salony recepcyjne restauracji „Pod Minogą” na Targowej też były czynne całą noc.

– Panie Szparaga, uważaj na winklach, boś mnie pan befszytk kapotą z talerza śmignął na ziemię i ten łysy gość się przez niego wykoleił, i znakiem tego ma życzenie mordę panu troszkie okurzyć.

– Tak jest! Bo albo się pan bawisz po ludzku, jak artykuła towarzyskiego kodeksu karnego przykazują, albo łachudra, pęta i łobuz pan jesteś, to wont z interesu, poszukaj pan sobie odpowiedzialniejszego dla pańskiej osoby miejsca!

Na szczęście wykwalifikowany personel nie dopuścił do krwi rozlewu i żale utonęły w wyborowej.

Reduty sylwestrowe przeżyły się na ogół, ale nie wszędzie. „Pompejańska” sala przy ulicy Bonifraterskiej pełna była po dawnemu kozaków, oberpolicmajstrów i kontuszowej szlachty. Szczególnym zainteresowaniem cieszył się pan Moniek Cytryn, przebrany za bardzo niepopularnego w tej dzielnicy głośnego męża stanu. Jego brązowa koszula, uczesanie w ząbek i mały wąsik budziły dreszcz grozy i sensacji.

Konkurowała z nim w pewnym stopniu panna Rita Szmalcmanówna – trzykrotnie! – przebrana za Simpsonową, we wspa-

niałym gronostajowym płaszczu królewskim na prawdziwych królikach.

Towarzyszył jej w roli eks-króla młody Szpinak (wyroby gumowe), wybrany do tej funkcji prawdopodobnie dzięki angielskiej chorobie, którą przechodził w dzieciństwie, a czego widome ślady zostały mu po dziś dzień.

Beztroską zabawę zakłóciło na chwil parę następujące nie-miłe zdarzenie.

Wśród szalejącej młodzieży wyróżniał się elegancją, urodą i znakomitym tangiem pan Benito Sołowiejczyk (manufaktura).

Nic też dziwnego, że panny po prostu tłoczyły się do niego, zawistnym patrząc okiem na zamożną jedynaczkę króla siatki drucianej, pannę Malcię Palestrant, która dumnym okiem toczyła dokoła, przyciskając się do tancerza i szepcząc mu czule:

– Bosko się z wami tańczy, Sołowiejczyk.

– Wszyscy mnie to mówią. W przeszłym tygodniu Greta Zyskind to się po prostu wściekała apropos rozkosz ze mną tańczyć.

– W ogóle jesteście słodki chłopak, Beniek.

– Nie ukrywam się z tego. Tak jest. Niezależnie jestem pierwszy letkoatletnik co do skok w dal, rzut z kulą i inne artykuły sportowe. Spójrzcie, Malwina, na ten gors, co? Jest kawałek piersi! Doruszcie tego muskuła. Asfalt prasowany, co? W ogóle non plus minus.

Dialog ten usłyszał przesuwający się obok w tańcu pan Kuba Miodownik, dotychczasowy konkurent do ręki panny Palestrantówny, którego gwiazdę zaćmił olśniewający Sołowiejczyk.

Pan Kuba wtrącił ze zjadliwym uśmiechem:

– Kto pana zaprzecza, panie Es? Wszyscy wiedzą, że masz pan siłę. Nikt by nie wytrzymał tyle protesty przez całe życie, co pan przez miesiąc.

– Malwina, czy ten szmondak do mnie idzie się dotyczyć?

– Niewątpliwie.

– Radzę pana, panie Em, nie doczepiaj się pan.

– A ja pana radzę, daj pan pokrycie! – krzyknął wielkim głosem pan Kuba, dramatycznym ruchem wyciągając zza pazu-chy gruby plik weksli z ogonami protestów i paczkę czeków.

Efekt był piorunujący. Goście stanęli jak wryci, muzyka przestała grać.

Sportowa krew zawrzała w Sołowiejczyku, rzucił się jak ranny tur na weksle i począł drzeć je w drobne kawałki. Pan Kuba Miodownik szybko się nachylił, by je pozbierać, i tu zaszła rzecz jeszcze straszniejsza.

Zapomniałem dodać, że pan Kuba miał na sobie obcisły kostium Stańczyka, słynnego trefnisia ostatniego z Jagiellonów. Przyciasny trykot nie wytrzymał napięcia nerwów swego chwilowego posiadacza i pękł na całej prawie swej szerokości. Błysnęła kość wewnętrzna Stańczyka.

Królewski błazen, spostrzegłszy nieszczęście, usiadł natychmiast w głębokim fotelu, ale to niewiele pomogło. Oburzeni ojcowie dorastających córek, okrywszy go pożyczonym z bufetu obrusem, wyrzucili wraz z wekslami za drzwi.

Szał sylwestrowy zaczął się z nową siłą i trwał aż do rana pod hasłem:

– Taki rok na stary rok!

## *Tępy uczeń*

*Ach, jak pan tańczysz, panie Zalc?*

*To nie jest mazur, to jest walc!*

mówi staropolska piosenka. Nic tedy dziwnego, iż niejedyn Zalc, nie chcąc się narazić na podobny zarzut, uczęszcza do szkoły nowoczesnych i stylowych tańców, gdzie już za 2 zł 50 gr miesięcznie można zgłębić najzawilsze tajniki wiedzy choreograficznej.

Szkół takich w północnej dzielnicy naszego miasta są tysiące, a już kilkadziesiąt jest ich na pewno.

Nadchodzący karnawał, liczne luki w wykształceniu tanecznym oraz tzw. żyłka dziennikarska sprawiły, że postanowiłem przeżyć miesiąc jako pilny elew takiej uczelni.